



## ROZDZIAŁ 1

# W którym Aru żałuje, że otworzyła drzwi

**P**roblem z dorastaniem wśród bardzo niebezpiecznych rzeczy polega na tym, że po jakimś czasie po prostu się do nich przyzwyczajasz.

Odkąd Aru sięgała pamięcią, mieszkała w Muzeum Starożytnej Sztuki i Kultury Indyjskiej. I wiedziała doskonale, że lampy na końcu Sali Bogów nie należy dotykać.

Mogłaby wspomnieć o „lampie zniszczenia” w taki sam sposób jak pirat, który oswoił morskiego potwora, mówi od niechcenia: „Och, masz na myśli starego Ralpa?”. Ale mimo że przywykła do lampy, nigdy, przenigdy jej nie zapaliła. To byłoby wbrew regulaminowi. Regulaminowi, który przerabiała każdej soboty, kiedy miała oprowadzać popołudniowych zwiedzających.

Wielu ludzi nie lubi pracować w weekend, ale Aru nie uważała oprowadzania za pracę.

To było raczej jak ceremoniał.

Albo tajemnica.

Zakładała wtedy swoją jaskrawoszkarłatną kamizelkę z trzema guzikami w kształcie pszczół. Naśladowała sposób, w jaki mówiła jej matka – kustosz muzeum – a ludzie (to było w tym wszystkim najlepsze) *stuchali*. Ani na moment nie spuszczała z Aru wzroku. Zwłaszcza kiedy opowiadała o przeklętej lampie.

Czasami wydawało jej się, że jest to najbardziej fascynująca rzecz, o jakiej mogła rozmawiać. Przeklęta lampa jest przecież dużo ciekawsza niż taka na przykład wizyta u dentysty. Chociaż można by uznać, że obie są przeklęte.

Aru mieszkała w muzeum od tak dawna, że nie miało ono już przed nią sekretów. Czytała lektury i odrabiała zadania u stóp ogromnego kamiennego słonia przy wejściu. Nierzadko zasypiała w sali wykładowej i budziła się tuż przed tym, jak skrzeczący głos nagranego przewodnika oznajmiał, że Indie wyzwoliły się spod panowania Wielkiej Brytanii w roku 1947. Zdarzało jej się nawet często ukrywać zapas cukierków w pysku czterechsetletniego posągu smoka morskiego (nazywała go Steve) w zachodnim skrzydle. Aru wiedziała wszystko o wszystkim w tym muzeum. Z wyjątkiem jednej rzeczy...

Lampy. Ona zasadniczo pozostawała tajemnicą.

– To nie jest zwykła lampa – powiedziała dr K.P. Shah, jej matka, a poza tym ceniona archeolog i kustosz, kiedy po raz pierwszy pokazała zabytek Aru. – Nazywamy ją *dija*.

Aru pamiętała, jak przytyka nos do szklanej witryny, wpatrując się w bryłkę gliny. W porównaniu z innymi przekłętymi przedmiotami ten wyglądał na wyjątkowo nudny. Miał kształt zgniecionego krążka hokejowego. Brzegi upstrzone były małymi znaczkami, jakby od ugryzień. A mimo to, przy całej jej normalności, nawet posągi wypełniające Salę Bogów wydawały się odsuwać od lampy, tworząc wokół niej wielką pustą przestrzeń.

– Dlaczego nie możemy jej zapalić? – zapytała matkę. Matka nie patrzyła na nią.

– Światło oświetla czasem rzeczy, które powinny raczej pozostać w ciemności. A poza tym nigdy nie wiesz, kto patrzy.

No dobra, Aru patrzyła. Patrzyła przez całe swoje życie.

Codziennie po szkole wracała do domu, zawieszała plecak na trąbie kamiennego słonia i podkradała się ku Sali Bogów.

Było to najpopularniejsze pomieszczenie w muzeum, pełne posągów najróżniejszych hinduskich bogów. Jej matka wyłożyła ściany wysokimi lustrami, żeby zwiedzający mogli oglądać zabytki z różnych perspektyw. Lustra były „staroświeckie” (tym samym słówkiem posłużyła się Aru, kiedy wymieniała z Burtonem Praterem pozieleńałego pensa na nowiutką dwudolarówkę i pół batonika). Ponieważ za oknami rosły wysokie lagerstremie i wiązy, światło wpadające do Sali Bogów było zawsze nieco przyćmione. Niemalże przymglone. Jakby posągi nosiły świetliste wieńce.

Aru stawała w wejściu, zatrzymując wzrok na ulubionych rzeźbach: boga Indry, króla niebios, trzymającego w ręku piorun, Pana Kriszny grającego na flecie, Buddy siedzącego w medytacyjnej pozie – z wyprostowanymi plecami i splecionymi nogami. A potem jej wzrok wędrował nieuchronnie ku szklanej witrynie z lampą zwaną diją.

Stała tak przez kilka minut, jakby czekała na coś... cokolwiek, co sprawi, że kolejny dzień w szkole okaże się ciekawszy niż poprzednie albo że ludzie zauważą, że ona, Aru Shah, nie jest po prostu zwykłą uczennicą, ale kimś *niezwyczajnym*...

Aru czekała na magię.

A kolejne dni przynosiły rozczarowanie.

– Zróbcie coś – szepnęła do posągów bogów. Był poniedziałkowy ranek, a ona wciąż miała na sobie piżamę. – Macie mnóstwo czasu na to, żeby dokonać czegoś niesamowitego, ponieważ teraz jest przerwa jesienna.

Posągi nie zrobiły nic.

Aru wzduszyła ramionami i wyjrzała przez okno. Drzewa w Atlancie w stanie Georgia nie zorientowały się jeszcze, że jest październik. Tylko ich wierzchołki przybrały już szkarłatnożółty odcień, jakby ktoś zanurzył je do połowy w wiadrze z ogniem, a następnie ustawił z powrotem na trawniku.

Zgodnie z przewidywaniami Aru dzień zapowiadał się na zwyczajny. To powinno stanowić pierwsze ostrzeżenie. Świat lubi oszukiwać ludzi. Sprawia, że dzień wydaje się

leniwy i jasny, niczym ogrzany na słońcu miód spływający ze słoika i tylko czekający na chwilę twojej nieuwagi...

I wtedy uderza.

Tuż przed tym jak zadźwięczał dzwonek, mama Aru przeslizgiwała się przez ich zagracone dwupokojowe mieszkanie przy muzeum. Sprawiała wrażenie, jakby czytała trzy książki naraz, rozmawiając jednocześnie przez telefon w języku, który brzmiał jak orkiestra maleńkich dzwoneczków. Aru natomiast leżała na brzuchu na kanapie i rzucała w mamę popcornem, usiłując zwrócić na siebie uwagę.

– Mamo, nie mów nic, jeśli możesz wziąć mnie do kina.

Jej mama zaśmiała się wdzięcznie do telefonu. Aru skrzywiła się. Dlaczego ona nie umie tak się śmiać? Kiedy Aru się śmiała, brzmiało to tak, jakby krztusiła się powietrzem.

– Mamo, nie mów nic, jeśli mogłybyśmy wziąć psa. Pirenejskiego psa górskiego. Możemy dać mu na imię Pan Mihau!

Teraz mama kiwała głową z zamkniętymi oczami, co oznaczało, że słucha uważnie. Tyle że nie Aru.

– Mamo, nie mów nic, jeśli...

Dzyń!

Dzyń!

Dzyń!

Matka uniosła wąską brew i spojrzała na Aru. „Wiesz, co robić?”. Aru wiedziała. Tyle że nie miała ochoty tego robić.

Zsunęła się z kanapy i niczym Spider-Man przepęzła po podłodze, po raz ostatni usiłując zwrócić na siebie uwagę matki. Było to niełatwym zadaniem, ponieważ podłogę zastawiono książkami i niedopitymi kubkami ćaju. Zerknęła za siebie i zobaczyła, że mama notuje coś na kartce. Aru powlekleła się przygarbiona do drzwi i zwróciła kroki ku schodom.

Poniedziałkowe popołudnia w muzeum są spokojne. Nawet Sherrilyn, szefowa muzealnej ochrony i nieszczęsna opiekunka Aru w weekendy, nie przychodziła w poniedziałki. W każdy inny dzień – z wyjątkiem niedzieli, kiedy muzeum było zamknięte – Aru pomagała rozdawać zwiedzającym bilety. Kierowała ich do konkretnych zabytków i wskazywała drogę do toalety. Raz nawet zdarzyło jej się nakrzyczeć na kogoś, kto głąskał kamiennego słonia, przy którym widniał bardzo czytelny znak „Nie dotykać” (zdaniem Aru odnoszący się do wszystkich poza nią).

W poniedziałki można się było spodziewać przypadkowych gości szukających schronienia przed deszczem. Albo takich, którzy przychodzili wyrazić (najgrzeczniej, jak się dało) swoje zaniepokojenie tym, że Muzeum Starożytnej Sztuki i Kultury Indyjskiej czci szatana. A czasem po prostu kuriera, któremu trzeba było zaparafować odbiór paczki.

Natomiast nie mogła się spodziewać, że kiedy otworzy drzwi, żeby powitać nowych gości, zobaczy trójkę uczniów z Augustus Day School. Aru poczuła się niczym w zbyt szybko zatrzymującej się windzie. Żołądek ścisnął się jej

od nagłego uderzenia paniki, kiedy troje uczniów patrzyło na nią i jej pizamę ze Spider-Manem.

Pierwsza z nich, Poppy Lopez, skrzyżowała opalone, pigogowate ramiona na piersi. Ciemne włosy miała związane z tyłu głowy jak baletnica. Drugi, Burton Prater, wyciągnął przed siebie rękę z brzydka pensówką na dłoni. Burton był niski i blady, a w koszulce w czarno-żółte paski wyglądał jak żalosny trzmiel. Trzecia, Arielle Reddy – najładniejsza dziewczyna w ich klasie, mająca ciemnobrązową skórę i lśniące czarne włosy – po prostu rzuciła jej wściekłe spojrzenie.

– Wiedziałam – oznajmiła triumfalnie Poppy. – Powiedziałam wszystkim na matmie, że mama zabiera cię na ferię do Francji.

„Mama mi to obiecała” – pomyślała Aru.

Zeszłego lata mama Aru zwinęła się na kanapie, wyczerpana kolejną podróżą międzykontynentalną. Zanim zasnęła, ścisnęła rękę Aru i powiedziała: „Może zabiorę cię jesienią do Paryża, Aru. Nad Sekwaną jest kawiarnia, gdzie słychać pojawiające się gwiazdy, zanim zaczną tańczyć na nocnym niebie. Będziemy chodzić po piekarniach i muzeach, sączyć kawę z maleńkich filiżanek i spędzać całe godziny w ogrodach”.

Tamtej nocy Aru nie mogła zasnąć, marząc o wąskich, krętych uliczkach i ogrodach tak niezwykłych, że nawet kwiaty wyglądały w nich wyniośle. Mając w pamięci słowa mamy, Aru bez szemrania posprzątała swój pokój i zmyła naczynia. A w szkole ta obietnica stała się jej zbroją. Wszyscy uczniowie z Augustus Day School spędzali

wakacje w miejscach takich jak Malediwy albo Prowansja i narzekali, kiedy ich jachty miały iść do remontu. Obietnica Paryża sprawiła, że Aru zrobiła mały kroczek ku przynależności do grupy.

A teraz usiłowała nie skurczyć się pod spojrzeniem niebieskich oczu Poppy.

– Mama ma supersekretną misję z muzeum. Nie mogła mnie zabrać.

To była po części prawda. Mama nigdy nie zabierała jej w podróże służbowe.

Burton rzucił na ziemię pozieleniałego pensa.

– Oszukałaś mnie. Dałem ci dwa dolce!

– I dostałaś starą monetę... – zaczęła Aru.

Arielle przerwała jej.

– Wiemy, że kłamiesz, Aru Shah. Tym właśnie jesteś: kłamczuchą. I kiedy wrócimy do szkoły, powiemy wszystkim...

Wnętrznosci Aru skręciły się. Kiedy w zeszłym miesiącu przyszła do Augustus Day School, była pełna nadziei. To jednak trwało krótko.

W przeciwieństwie do innych uczniów nie podjeżdżała do szkoły smukłą czarną limuzyną. Nie miała domu na wybrzeżu. Nie miała pokoju do nauki oraz pokoju do wypoczynku, ale po prostu pokój, a nawet ona zdawała sobie sprawę, że ten jej pokój jest raczej szafą, która tylko w jej głowie urosła do rangi czegoś więcej.

Ale tym, co miała, była wyobraźnia. Aru snuła marzenia na jawie przez całe swoje życie. W każdy weekend, kiedy czekała, aż mama wróci do domu, wymyślała



historię: jej mama była szpiegiem, wydziedziczoną księżniczką, czarodziejką.

Matka zawsze jej powtarzała, że nie ma ochoty na wyjazdy służbowe, ale były one konieczne, żeby muzeum działało. A kiedy przyjeżdżała do domu i o wszystkim zapominała – na przykład o zawodach szachowych albo o próbie chóru Aru – to nie dlatego że jej to nie obchodziło, ale że była zbyt zajęta permanentnym stanem wojny, pokoju i sztuki.

Dlatego jeśli jakieś dzieci w Augustus Day School zadawały pytania, Aru opowiadała im różne historie. Podobne do tych, które tworzyła dla samej siebie. Opowiadała o miastach, w których nigdy nie była, i o potrawach, których nigdy nie kosztowała. Jeśli przychodziła w zdarzonych butach, to dlatego że poprzednia para została wysłana do Włoch do naprawy. Przyswoiła sobie to subtelne uniesienie brwi, które wszyscy inni stosowali, i celowo niepoprawnie wymawiała nazwy popularnych sieciówek, gdzie kupowała ubrania, jakby to były francuskie butiki. A kiedy to nie skutkowało, prychała i mówiła:

– No tak, oczywiście nie rozpoznajecie marki.

W ten sposób zdołała się dostosować.

Przez jakiś czas te kłamstwa działały. Została nawet zaproszona na weekend nad jeziorem w towarzystwie Poppy i Arielle. Ale zaprzepaściła wszystko, kiedy pewnego dnia zobaczono ją przemykającą się z parkingu. Arielle zapytała, który samochód należy do niej. Aru wskazała na pierwszy lepszy i uśmiech znikł z twarzy Arielle.

– Tak się składa, że to jest samochód mojego szofera.

Teraz Arielle spoglądała na Aru z tą samą pogardą.

– Mówiłaś nam, że masz słonia – powiedziała Poppy.

Aru wskazała na kamiennego słonia za jej plecami.

– Bo mam!

– Mówiłaś, że został uratowany w Indiach!

– No, mama powiedziała, że ocalał ze zrujnowanej świątyni, a to coś w rodzaju ratunku...

– Podobno masz też jakąś przeklętą lampę – przerwała jej Arielle.

Aru zobaczyła czerwone światełko na telefonie Burtona: świeciło bez przerwy, nie migając. On ją nagrywał! Spaniowała. Co jeśli to nagranie znajdzie się w sieci? Miała dwie możliwości do wyboru: 1) mieć nadzieję, że wszechświat się nad nią zlituje i pozwoli jej zniknąć przed godziną wychowawczą, 2) zmienić imię i nazwisko, zapuścić brodę i przeprowadzić się.

No chyba żeby całkowicie uniknąć obciachu... mogła pokazać im coś zaskakującego.

– Przeklęta lampa jest prawdziwa – oznajmiła. – Mogę to udowodnić.